PORWANY WICHREM.

BALLADA.

(Z podania ludowego. *)

Chata w dolinie i chata na wzgórzu.
Pstro w ich ogródkach, jakby w piórze pawiem,
Nasturcje płoną wśród malw i jarmużu,
A studnia skrzypi żórawiem.

Krzepko pracują w chatach gospodarze.
Syn u jednego, u drugiego córka;
Przez nich się wiąże, jako powieść każe,
Miłość doliny i wzgórka.

On tęsknie patrzy na ptaki skrzydlate,....
Chciałby świat zmierzyć! Wichrowi zazdrości!
Ona, co lubi? Swą trzodę i chatę.
Podobni tylko z miłości.



On jakby potok zbiega do niéj z góry;
Ona jak powój ku niemu się wspina.
—Lecz krótko szczęście kwitnie jak dolina;
Szczyt jego przyciąga chmury.

W przeddzień wesela, gdy dziewcze bez troski
Rwało rozmaryn do ślubnego wieńca,
Przyszedł nieznany czarodziéj do wioski,
I rzucił czar na młodzieńca.

Czemu? Czy w jego zakochał się dziewie?
Czy mu znak orli wyczytał na czole?
Nie wiem—nikt myśli czarodzieja nie wie.
Lecz tak wykonał swą wolę:

Wziął pęczek cierni, wziął skrzydło łabędzie,
Pod próg podłożył, przysnuł zielem dzikiem.
—Wybiega z chaty młodzieniec, i w pędzie,
Na progu staje z wykrzykiem.

W téj chwili słońce wydało się bledsze....
Nadciąga chmura gromami nalana—
Wicher zahuczał, uderzył młodziana,
Wzniósł go i porwał w powietrze.

*) Patrz *Klechdy i podania zebrane i spisane przez K. Wł. Wojcickiego*, Tom Iszy, str. 94.

Porwany wichrem szarpie się w rozpaczy—
Woła.... głos jego stłumiła zawieja.
Spojrzał ku ziemi: widzi czarodzieja,
Lecz jakże widzi inaczéj!

To już nie człowiek o podróżnéj szacie;
W ręku wywija różczką piorunową,
Na tle z błyskawic stoi w majestacie,
Z niebieską gwiazdą nad głową.

I woła głosem, co jak złoto dźwięczy:
„Odtąd ci życie będzie promienistszem.
„Pokłony orłów i kochanie tęczy
„Zdobędziesz, bom ja ci mistrzem.

„Ale o ziemi zapomnij na niebie;
„Rozstań się z marnym dziewczęcia obrazem;
„Niebo i ziemię trudno posiąść razem—
„Jam niebo wybrał dla ciebie.“

Wionął czarodziéj, jakby mgła zwodnicza...
A pleban czeka w kaplicy bieluchnéj,
Jadą drużbowie trzaskający z bicza,
Na wozach świergocą druchny.

Spieszą się.... słyszą nadchodzącą burzę;
Spojrzeli w niebo—i mowę stracili....
W chmurze! Młodzieniec mocuje się w chmu-
[rze!
Błagalnie dłoń ku nim chyli!

Kto go dosięgnie? Kto mu rękę poda?
Chłopcy bezsilne wytężają ramie—
Kobiety płaczą... ach! panna młoda?
Upada i rączki łamie!

Porwany wichrem bez wytchnienia wzlata,
Już chat nie widzi, już nie słyszy głosów,
Cicho, i jakby przed stworzeniem świata,
Znalazł się sam śród niebiosów.

Zrazu trwożliwy był lot podróżnika....
Drżał czy nie spadnie? czy nie trąci gromu?
Ale do nieba szybko się przywyka,
Duch czysty tam jest jak w domu.

Nie zna pragnienia, ni męki głodowéj,
Kto jest pod czarem.—Młodzieniec z rozkoszą
Szedł po błękitach co jak nurt go wznoszą,
Wyuczał się ptaków mowy.

Orzeł na ręku mu siadał jak chwała.
Nisko, pod stopą miał chmury i klęski,
Tęcza pokoju w nim się zakochała,
I łuk mu wzniosła zwycięzki.

Leciał dni wiele.— Doleciał do słońca;
Tam prawda świeci, od światłości czystsza.
Tam się nauczył tajemnic bez końca;
W mądrości doścignął mistrza.

Szczęście samotne! rozkosze surowe!
Na życie twarzą spoglądał pogodną,
Modra mu gwiazda spłynęła nad głowę,
Lecz w serce—było mu chłodno.

Czasem go wicher opuszczał ku ziemi.
Raz, przez szczelinę rozdartą w obłoku,
Ujrzał dwie chaty z ogródkami pstremi—
I łza zadrżała mu w oku....

Wszystko z wysoka wydaje się cudniéj.
Zatęsknił orzeł do strzechy gołąbka.
Z pod kraśnéj szaty, z pod białego rąbka,
Poznał swe dziewcze przy studni.

Patrzyła w studnię jak smutek głęboką;
Śpiéwała piosnkę, gdzie słowa tak płyną:
„Ty pójdziesz górą, ja pójdę doliną“....
—On wołał—lecz za wysoko!

Nie słyszy! z sierpem odeszła do żniwa.
On walczy z wichrem jak w dzień pierwszéj
[burzy.
—Uczucie ludzkie, im tłumione dłużéj,
Tem się gwałtowniéj wyrywa.

Przy swojéj chacie ujrzał czarodzieja;
Ten milcząc, jego przyglądał się męce.
W serce młodzieńca wróciła nadzieja,
Zawołał składając ręce:

„Szczęścia! miłości! lub z tęsknoty zginę!
„Wzniosłeś mię cudem— ach! co mi po cu-
[dzie?
„Oddaj mi strzechę! oddaj mi dziewczynę!
„Chcę żyć i kochać jak ludzie!

—„Kto zaznał niebo, niech się ziemi zrzecze.“
Mówi czarodziéj.— „Ha mistrzu! w tém niebie,
„I ja zdobyłem siły nadczłowiecze!
„Znam czary, nawet na ciebie!“

Tu promień światła jakby strzałę chwyta,
Ostrze jéj łzami nasączył własnemi,
Puścił ją.... w stopę czarodzieja wbita,
Wskroś go przykuła do ziemi.

„Mistrzu! Od ziemi ciebie nie wyzwolę,
„Póki nie zdejmiesz czaru nieba ze mnie.“
—Mistrz chociaż cierpiał, miał dumę na czole,
Mistrz się uśmiechał tajemnie.

„Gdyś tak potężny, losy twe odmienię,
„Ale pamiętaj: kiedyś, méj obrazy,
„Pomści się własne twych życzeń spełnienie.“
Tu go odżegnał trzy razy.

Młodzian się spuszcza.... stanął. Jak mu błogo!
Całuje ziemię! — Lekko wyjął strzałę
Ze stopy mistrza i puścił się drogą,
Radosny jak dziecie małe.

Ściska przechodniów, pędzi do zagrody,
Kłania się nisko ojcu swojéj lubéj:
„Witajcie!—woła—Powracam na gody!“
Ojciec uśmiechnął się z chluby.

Pięknie mieć zięcia, co aż z gwiazd przybywa!
I znów rozmaryn zaplatają druchny,
Pleban ich łączy w kaplicy bieluchnéj,
I para żyje szczęśliwa.

Czy tu już koniec? O jeszcze nie! życie
Ma drogę dłuższą jak droga powieści.
—Serce młodzieńca ze szczęściem się pieści,
Lecz myśl zostawił w błękicie.

Gdy tęcza błyśnie, gdy orzeł przeleci,
Żal go podrywa, iskrzą mu się oczy....
Nawykł oddychać w wichrowéj zamieci—
Powietrze ciche go tłoczy.

Coraz mu puściéj wśród ludzkiego gwaru;
Istnienie jego na dwoje się kruszy....
Ach! On nie wiedział, że mistrz, z jego duszy
Zdjął tylko połowę czaru!

Duszno mu w chacie — wybiega na pole,
Podniósł ramiona do wyższego świata,
I, o radości! gdy wytężył wolę,
Poznał, że znowu ulata!

„Teraz mię troski nie dościgną żadne!
„Tam będę wielki, tu będę kochany!
„Czy zechcę wzlecieć, czy zejść, na przemiany
„Niebem i ziemią zawładnę!“

Jak rzekł, wykonał.— Niekiedy nieśmiało,
Latał na chwilę między wyższe moce.
Lecz to co jemu chwilą się zdawało,
Wszak były to dni i noce!

Spokojne szczęście w chacie się zamąca;
Wracającego żona czeka z trwogą....
„Gdzie tak odchodzisz?...“ Pyta go,—i drżąca
Dodaje ciszéj: „Do kogo?“

Młodzian się próżno na wierność zaklina,
Niewiasta płacze lub milczy z żałobą.
Chce do pagórka dorosnąć dolina,
I prosi go: „Weź mię z sobą!“

I wziął ją z sobą w potężne ramiona;—
Lecą.... struchlała w niebieskiéj pustyni....
Blednie, lecz krzyki zapiera w głąb łona—
Miłość odważną ją czyni.

On ją unosząc, mdleje od ciężaru—
Gdzie nie drżał dawniéj, tam o nią się trwoży.
—I coraz rzadziéj latają w świat boży;
Na dwoje mało pół czaru!

Aż dnia jednego, gdy wzlecieli rano,
(Mówił mi starzec, świadek owéj chwili,)
Czekano długo i jeszcze czekano,
I nigdy nie powrócili.

Czy śmierć ich zaszła w niebezpiecznéj jeździe?
Czy się rozwieli w tym ciągłym powiewie?
Czy zamieszkali na szczęśliwszéj gwieździe?
Nikt w wiosce do dziś dnia nie wie.

Chaty się chylą... chwast buja do koła.
Niekiedy śpiewak na tych gruzach stanie,
Od siwych ludzi usłyszy podanie,
Siądzie przy studni i woła:

„Porwany wichrem to obraz genjuszu.
„Ideał rzuca na niego zaklęcia,
„A rzeczywistość go ściąga w objęcia.
„Któż znajdzie klucz ich sojuszu?“

Deotyma.

PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

W znanych wypadkach kraju, od zawiązania konfederacji barskiéj, miał ks. Marcin bezpośredni udział; znajdował się najprzód przy boku Kazimierza Pułaskiego, późniéj ogłoszony marszałkiem konfederacji krakowskiéj, walczył mężnie, aczkolwiek z różnem szczęściem; następnie wyparty za granicę kraju, schronił się do Węgier, gdzie mieszkał do końca 1769 roku. Skoro zjawił się powtórnie na polu walki, jako jeden z najgorliwszych stronników Puławskiego, obóz konfederacji, był podzielony na dwa nieprzyjazne stronnictwa, w skutku czego pozbawiony dowództwa i obarczony zarzutami, odwoływał się niejednokrotnie do opinji publicznéj. Widzimy z korespondencji ówczesnych, że przywódcy konfederacji, uznawali ks.

Marcina jako marszałka; na mocy zaszłéj komplanacji, pomiędzy naczelnikami rywalizujących stronnictw, ogłoszony marszałkiem konfederacji przemyślskiéj, zamieszkał on wraz z żoną w majątku swym w Kolbuszowéj, zkąd czynił kilkakrotnie wycieczki i odznaczył się przy odsieczy Rzeszowa. Nieporozumienia pomiędzy Puławskim, a generalicją konfederacji, skłoniły ks. Marcina do wyjazdu z Polski, na początku następującego roku, osiadł więc w Krawarnie na Szlązku, w pobliżu miasta Opawy, gdzie znalazł swobodniejsze pole działania, porozumiewał się od czasu do czasu z generalicją, następnie zawiązał za pomocą korespondencji liczne ze znakomitemi osobami i z dworami zagranicznemi stosunki.

XXIII.

Powiedzieliśmy już, określając charakter Marcina Lubomirskiego, że należy on do rzędu tych zagadkowych postaci, które z powodu ich wrażliwego umysłu, pozostają zawsze pod wpływem bieżących wypadków, przyjmują z łatwością barwę otaczającéj ich epoki, w całym więc ciągu ich życia, szukalibyśmy na próżno tego logicznego porządku, który daje się spostrzegać w samodzielnych tylko umysłach. Waleczny ale rozrzutny i namiętny w swéj młodości, wypróbowany długą pokutą w więzieniu, ks. Marcin poświęcił się następnie sprawie konfederacji, z całą siłą młodzieńczego ognia, z pochopnością do walki i ofiary. Oskarżony niesprawiedliwie przed generalicją, marszałek konfederacji przemyślskiéj, oczekiwał sposobnéj pory, w któréj złoży dowody swéj niewinności, tymczasem zawiązał stosunki dyplomatyczne z zagranicznemi dworami, rozwinął niepospolitą działalność w celu popierania sprawy konfederacji. Ajentami ks. Marcina byli: Schatz w Augsburgu, ks. Marcin Drużbacki w Wiedniu, Duhamel i Botherel w Paryżu. Schatz był redaktorem gazety, która była organem konfederacji, mianowicie stronnictwa Puławskiego; koszta druku i redakcji, pokrywał ks. Marcin płacąc Schatzowi 50 dukatów miesięcznie. Ks. Drużbacki, zarządzający poprzednio dobrami księcia, znajdował się obecnie przy boku jego w Krawarnie, zkąd miał się udać do Węgier i do Wiednia. Pułkownik Duhamel i kapitan Botherel, zaciągnęli się do służby konfederacji, a w przeciągu 1770 r. byli naprzemian ajentami jego w Paryżu, zobowiązali się werbować zdolnych oficerów i żołnierzy, jakotéż doręczać korespondencje jego ministrom. W skutku dyplomatycznych stosunków z Paryżem, przyjeżdżał do Krawarny hr. Stainville, w charakterze nadzwyczajnego posła; niejaki p. de Blangis, miał także udział w sekretnych rozmowach ks. Marcina z posłem. Utrzymywanie licznych ajentów, jakotéż werbowanie ochotników, wymagało ogromnych nakładów; jak przekonywają nas rachunki, marszałek nie szczędził w tym celu kosztów i gotów był poświęcić cały swój majątek; zapożyczył znaczną kwotę, sprzedał kosztowności rodzinne i brylanty swéj żony, nakoniec obciążył dobra długami, które stały się późniéj jedną z najważniejszych przyczyn ruiny wielkiego majątku. Botherel wysłany niedawno przez ks. Marcina do Paryża, miał poleconém sprowadzić kompanję dragonji, na co otrzymał skrypt na 20,000 liwrów. Każdy z cudzoziemców zajmujących wyższe stanowisko przy boku Lubomirskiego, pobierał znaczny żołd miesięcznie, w razie zaś zaległéj wypłaty, o takową dopominali się natrętnie; jedynie bowiem tylko widoki materjalnéj korzyści, przywiązywały ich do sprawy konfederacji.

W miesiącu Kwietniu 1770 roku, w zamku Krawarnie, mieszkał ks. Marcin z żoną; Anna dzieliła losy i trudy męża, dopomagała mu radą i stosunkami, w interesie jego korespondowała często z ojcem, który w tym czasie znajdował się przy dworze cesarzowéj w Wiedniu. Znany nam ks. Drużbacki, gościł w Krawarnie, w nim téż pokładał marszałek konfederacji wielkie zaufanie, a we wszystkich ważniejszych kwestjach, nie czynił kroku bez poradzenia się żony i zacnego kapłana. Major Suski nieodstępny towarzysz księcia, w partyzanckich jego wycieczkach, mieszkał obecnie w Opawie, w pobliżu Krawarny, wraz z innemi konfederatami, gdzie oczekiwał na przyjazd pułkownika Duhamela, który miał objąć dowództwo pułku, skoro tenże uorganizowany zostanie. Porucznik Siemoński i kapitan Zawadzki, byli adjutantami ks. Marcina, z duchownych zaś osób, oprócz ks. Drużbackiego, przeznaczonego do spraw zagranicznych, byli kapłani: ks. Tomasz Garlicki, kanonik katedr. kijowski, krucyfer i kaznodzieja konfederacki, który uciekłszy z niewoli, schronił się do Węgier, następnie przystał do boku ks. Marcina i mieszkał z nim w Krawarnie; drugim był kapelan, ojciec Atanazy, znany nam z poselstwa do Budy, w czasie pobytu w tameczném więzieniu Lubomirskiego.

Zazwyczaj w dnie świąteczne, oficerowie należący do świty, przybywali z miasta Opawy do Krawarny i wraz z duchownemi zasiadali do książęcego stołu. Pałac w Krawarnie, był urządzony skromnie, jeden tylko pokój ks. Marcinowéj, odznaczał się aksamitném obiciem ścian i mebli, w innych komnatach zwyczajne stoły dębowe, ławki i kilka starożytnych krzeseł, główne stanowiły sprzęty.

W niedzielę, po ukończoném nabożeństwie, zebrali się oficerowie i księża w jadalnéj komnacie pałacu, gdzie na długim dębowym stole, zastawione już były porcelanowe talerze i misy, srebrne konwie i puhary. Obok gospodyni domu, zasiedli księża; książe zajął miejsce pomiędzy ks. Drużbackim, a majorem Suskim, daléj siedzieli inni oficerowie konfederacji; w przyległym pokoju, zastawiony był

stół dla małéj córki ks Marcina, któréj towarzyszkami były guwernantka francuzka panna Durand i trzy panny z fraucymeru księżnéj. Rozmowa toczyła się najprzód ogólna o różnych bieżących wypadkach, jako to o niezgodzie pomiędzy marszałkami konfederacji, o spodziewanym przyjeździe posła francuzkiego do Eperies, o układach z dworem saskim i królewiczem Karolem, nakoniec o nadziejach konfederacji i przyrzeczonych posiłkach z zagranicy i t. p. Pod koniec obiadu, kiedy w skutku ogólnéj rozmowy i objawionych w niéj zdań przeciwnych, powstały pojedyncze spory, ks. Drużbacki z sąsiadem swym ks. kanonikiem Garlickim, porzuciwszy pole polityki, rozpoczął teologiczną dysputę. Prałat i krucyfer konfederacki, miał w czasie nabożeństwa bardzo długie kazanie o niewdzięczności przeciwko Bogu, ks. Drużbacki czynił mu zarzut, że nie mówił z pamięci, a czytał przygotowaną na piśmie naukę, co zajęło tak długi przeciąg czasu, że nikt nie był w stanie wysłuchać z należytą uwagą kazania, które, jako obszerny i uczony teologiczny traktat, najwłaściwsze zajęłoby miejsce w drukowanéj książce, będącéj zbiorem ćwiczeń duchownych. Uwaga ta, obraziła mocno ks. Garlickiego, który odpowiedział z przekąsem:

— Nie spodziewałem się podobnego zarzutu, a to z ust jeszcze tak światłego kapłana, mam bowiem to przekonanie, że lepiéj jest czytać dobrze napisane kazanie, niż mówić z pamięci lada jakim stylem, bez dostatecznego przygotowania....

— Czyniąc moją uwagę ks. prałatowi dobr. nie miałem wcale na myśli wychwalać tych kaznodziejów, którzy bez przygotowania i należytego zbadania słowa Bożego, prawią niedorzeczności, wysoko bowiem cenię powołanie kapłańskie i pamiętne mi są słowa św. Hieronima: *Si sacerdos est, sciat legem Domini, si ignorat legem, ipse se arguit non esse Domini sacerdotem.* Ale nie mogę też pochwalać długiego czytania traktatów z ambony, bo z powodu tak monotonnéj nauki, słuchacz nie odbiera tego wrażenia, jakie tylko żywe słowo, wychodzące z ust mądrego kaznodziei, wywołać może.

— A ja odpowiem na to zdaniem św. Filipa, który w tych słowach uczy nas pokory: *Semper timendum et nunquam sibi confidendum est, quia daemon ex im proviso adoritur et tenebris involvit intellectum, quique non timet, victus est, nam Dei auxilio destitutus est.* Otóż wolę wyznać w pokorze, że nie liczę się do rzędn owych sławnych kaznodziei, z których ust, złote płynęły słowa, a więc obawiam się, ażebym mówiąc z pamięci, nie popełnił jakiego błędu, bo korzę się przed prawem Boskiem, a nie dbam na ludzkie maksymy i wyroki.

— Przepraszam ks. kanonika dobrodzieja, ale mądry kaznodzieja powinien zważać na to, jako nauczyciel słowa Bożego, ażeby mowa jego trafiała do przekonań i serc słuchaczów, wnoszę zatém, ażeby zrzekł się kaznodziejskiego obowiązku, skoro nie czuje sił dostatecznych do spełnienia tego powołania.

— To już zanadto! zawołał z oburzeniem ks. Garlicki, widzę, że uwziąłeś się dziś ks. pijarze i myślisz dawać mi nauki, a nie pamiętasz téj świętéj maksymy: *Maneat quisque domi suae, id est intra se ipsum, neve sit sindicus et judex actionum vitae que alienae.*

Spór ten zwrócił uwagę obecnych, pierwszy ks. Atanazy wtrącił się do rozmowy.

— Chociaż mizerny jestem zakonnik, odważam się też w téj materji przed sąd JW. prałata i ks. pijara dobrodzieja, przełożyć me zdanie. Nie ma zaprawdę nic zbawienniejszego, jak mądrze z pamięci wygłoszone kazanie, boć i pierwsi apostołowie, nie inaczéj opowiadali słowo Boże, a chociaż w braku zdolności, dozwolone jest czytanie, zgadzam się ze zdaniem ks. pijara Drużbackiego, że lepiéj jest na kogo drugiego zlać ten obowiązek, zwłaszcza jeżeli się znajduje inny i wymowniejszy kaznodzieja, a w tém właśnie uważałbym największy akt pokory, o któréj to cnocie wspominał dopiero JW. prałat dobrodziéj.

— Co to znaczy? zawołał zrywając się z krzesła ks. Garlicki, nawet ty ojcze Atanazy, chcesz dawać mi dziś nauki, idąc za pięknym przykładem ks. Drużbackiego, korzystasz z twéj wolności za granicą kraju i zapominasz ojcze Atanazy, że jako prosty zakonnik, możesz odpowiadać srodze za obrazę wyrządzoną zwierzchności kościelnéj w méj osobie!....

To powiedziawszy, wstał kanonik od stołu i zaczął przechadzać się szybkim krokiem wzdłuż pokoju, poruszyli się z miejsc swych wszyscy obecni, na widok téj demonstracji; ks. Marcin wystąpił z następującą do kanonika przemową:

— Nie unoś się gniewem ojcze Tomaszu, bo wyznać ci muszę, że słuszne są uwagi mych kapelanów, kazanie było zbyt dłngie, a w niektórych miejscach ciężkie i trudne do zrozumienia, dla słnchaczów....

— A ja widzę, że W. Ks. M. godnego obrałeś kapelana w osobie ojca Atanazego bernardyna, bo obydwa wbrew wszelkim przepisom religji, ośmielacie się cenzorować bezprzykładnie kanonika, krucyfera i kaznodzieję, który miasto wdzięczności, taką odbiera za swe zasługi nagrodę. Żegnam W. Ks. M., ale nie zapomnę gorszącéj sceny, którą wywołał przykład wielebnego ojca Drnżbackiego.

To powiedziawszy, ukłonił się ks. Garlicki i zabierał do wyjścia, ale zatrzymał się, skoro ks. Drużbacki powstał z miejsca i odrzekł:

— Przepraszam, jeżeli obraziłem szanownego kanonika dobrodzieja, ale protestuję najsolenniéj, jako nie myślałem mu ubliżyć, a na dowód tego, gotów jestem przeprowadzić jeszcze w przedmiocie kazania dysputę, jeżeli raczysz się udać ze mną na plebanję, gdzie naj-

właściwsze do podobnéj rozprawy jest miejsce.

— A ja nie chcę żadnéj z waszmością dysputy.... a raczéj miasto onéj, powiem w następującą niedzielę kazanie *do polityków, cudzą godność szarpiących*; pierwsza część zacznie się od téj maksymy: „Nad wszystkie ubiory, bardziéj zdobi cnota pokory,“ druga zaś część zacznie się od słów: „na kim cudzoziemska inwestytura, takaż w nim i natura.“

Wymawiając ostatnie słowa, wskazał ręką ks. Garlicki na księcia Marcina i ks. Drużbackiego, poczém wyszedł pospiesznie z komnaty. Wszyscy obecni powstali od stołu i rozeszli się w różne strony; księżna zajęta była rozmową z ojcem Atanazym, major Suski wyszedł na przechadzkę z porucznikiem Siemońskim i innemi oficerami; gospodarz z ks. Drużbackim zamknęli się w oddzielnéj komnacie i przeglądali korespondencje świeżo nadesłane z zagranicy. Ksiądz pijar czytał uważnie listy Schatza, ajenta konfederacji z Augsburga, ale skoro wziął do ręki list ostatni, zaledwie rzucił okiem, zaczął się śmiać serdecznie.

— Wiem z czego się śmiejesz ojcze... ten Schatz jest zawołanym łotrem, ale muszę mu to wybaczyć, jest mi bowiem bardzo potrzebny do czasu, oddał już przysługę konfederacji, drukowaniem jéj manifestów i dokumentów, dziś zaś zakłada dziennik w języku francuzkim, wyłącznie poświęcony naszéj sprawie.

— Nie przeczę, że ten ajent jest potrzebny dla sprawy konfederacji, ale czytając dwa ostatnie jego listy, nie mogę wstrzymać się od śmiechu, w jednym z nich bowiem, sypie ci kadzidła książe i zapewnia, że jedynie cześć dla sławnego twego imienia, skłoniła go do ofiarowania swych usług, ale jednocześnie przymawia się o wynagrodzenie, chociaż wiem dobrze, że już sowicie zapłaciłeś W. Ks. M. za jego usługi.

W rzeczy saméj, w przeciągu jednego roku, otrzymał już odemnie 500 czerwonych zł., na koszta druku i redakcji, nadto pobiera miesięcznéj pensji, 50 czerwonych zł.; teraz zaś za ogłoszenie genealogji i życiorysu mego, o co nie prosiłem go wcale, żąda osobnego wynagrodzenia; chciwość tego człowieka, jest niepomierna, a zuchwalstwo do tego stopnia, że w ostatnim liście wymawia mi wyraźnie, że nie baczę na jego zasługi i żadnéj nie daje mu odpowiedzi. Dziwna jest bezczelność tych cudzoziemców, potrzebaby mieć niewyczerpane źródło złota, dla zaspokojenia ich ciągłych wymagań.

— To też ośmielam się przełożyć me zdanie, że należy ostrożnie postępować z temi panami, sumieniem ich, jest pieniądz, dla którego poświęcą wszystko, honor i imie, ale skoro zabraknie tego żywiołu, nie tylko nie można od nich żadnéj spodziewać się usługi, ale przeciwnie obawiać się wypada, ażeby nie stanęli w szeregu nieprzyjaciół naszych.

— Wiem o tém ojcze, dla tego żałuję mocno, że dotychczas nie zawarłem z Jakóbem Schatzem piśmiennéj umowy i nie oznaczyłem ilości wynagrodzenia, którego domagać się ma prawo.

— Wszakże W. Ks. M. wyznaczyłeś mu pensję?

— Tak jest, ale włożyłem na niego obowiązek, wydawania tych tylko dokumentów, które mu nadesłane zostaną, tymczasem JP. Schatz, w zbytniéj gorliwości, jak się sam wyraża, o moją sławę, wydaje w Augsburgu mój życiorys i genealogję....

— W istocie wspomina o tém w przedostatnim liście.

To powiedziawszy, wziął do rąk ks. Drużbacki wzmiankowane pismo i czytał następujący wyjątek:

„Ce n'est donc pas simplement à Augsburg qu'on connaitra le grand Lubomirski, ce nom deviendra précieux à toutes les nations, par le célèbre portrait que je viens d'en faire. Il me semble que cette attention, d'avoir promulgué si héroiquement le nom, la naissance et la famille de mon très gracieux prince, me meritra plus que tous mes autres petits services antérieurs, toute son affection, et qui sait, peut-être aussi une petite récompense, pour me maintenir dans l'idée que j'ai de servir un prince incognito.“

— Osądź sam ojcze Drużbacki i powiedz co mam począć z tym człowiekiem? zapewne w myśli pochlebienia mi, ułożył ten szalony życiorys, w którym tak grube popisał kłamstwa, że największy nieuk nie da im wiary, następnie dopomina się ciągle oddzielnego wynagrodzenia, kiedy zaś żadnéj nie daję mu odpowiedzi, ośmiela się tysiączne czynić mi wymówki.

— Według mego zdania, powinieneś W. Ks. M. zastrzedz wyraźnie, że na przyszłość zwalniasz go od usług, które nie mają związku ze sprawą konfederacji, nadto powiedz mu W. Ks. M. otwarcie, że nie wiesz w jakim celu pisze panegiryki, które jako wierutne kłamstwa, nie przymnożą wcale sławy jego osobie.

— Skorzystam z twojéj rady, ojcze Drużbacki; wstrzymywałem się dotąd z odpisem, bo sądziłem, że zrozumie powody mego milczenia i przekona się z czasem, jak wielkie popisał brednie i jakiéj za nie godzien jest nagrody....

— Wybacz mi książę, ale widzę, że nie znasz dobrze tych ludzi; każdy literat spekulant, jak Schatz i jemu podobni, łączy z zarozumiałością, wielką dozę głupoty, a schlebiając najbezczelniéj stronie, z któréj myśli ciągnąć korzyści, nie troszczy się wcale o to, czy jego dzieło wytrzyma jakąkolwiek krytykę. Schatz sypiąc tak nie zręcznie kadzidła W. Ks. M., sądzi zapewne, że już dopiął swego celu i na dozgonną zasłużył wdzięczność.

— Więc on mnie uważa za warjata, a przynajmniéj za wielkiego głupca, jeśli sądzi, że za dobrą wezmę monetę wierutne jego kłam-

stwa? zawołał z oburzeniem ks. Marcin.

— Filozofją naszego wieku jest kłamstwo i pochlebstwo, odparł z uśmiechem ks. Drużbacki, po chwili namysłu dodał: często się zdarza, że jak jedna, tak druga strona, to jest piszący i odbierający pochwały, nie wierzą im zarówno w głębi duszy, a przecież oszukują się wzajemnie; zresztą nie ma większego szaleństwa, jak źle zrozumiana miłość własna, czasem najbezczelniejszy panegirysta, żyje kosztem bardzo rozumnych ludzi, których schlebia próżności i dumie.

— Cieszę się mocno, że Schatz mię nie oszuka tak łatwo, pozbyłbym się nawet tego natręta, ale wiem, że równie zdolnego dziennikarza i korespondenta, nie znajdę w całych Niemczech.

— Byłoby to nawet niepolitycznie, ażebyś W. Ks. M. w obecnych okolicznościach usuwał Schatza, radzę tylko, jak to wspomniałem już wyżéj, odpisać mu bez ogródki, że oprócz wyznaczonéj pensji, żadnego innego nie ma się spodziewać wynagrodzenia, a przekonasz się W. Ks. M. wkrótce o skuteczności tego lekarstwa; mogę nawet zaręczyć, że JP. Schatz ani jednéj zbytecznéj nie napisze litery, odkąd utraci nadzieję większego zysku.

— Zrób mi tę łaskę ojcze i ułóż tę odpowiedź Schatzowi, ale tak dyplomatycznie i ostrożnie, ażeby się nie rozgniewał....

— Dobrze, napiszę natychmiast, a jeszcze dziś może wieczorem, przeczytam W. Ks. Mości.

To powiedziawszy, pożegnał się ks. Drużbacki i wyszedł z gabinetu księcia, który przeglądał znów i odczytywał różne listy Schatza Niezmordowany ten korespondent, pisywał prawie codziennie, w ostatnich zaś czasach, przymawiał się w każdym liście najbezczelniéj o przysłanie mu wynagrodzenia, za ogłaszanie niedorzecznych kłamliwych pochwał. W jednym z listów opowiada ajent ks. Marcina, że miał sen dziwny, w którym widział potężnego księcia szczęśliwéj Arabji i europejskiego niewolnika; książe wyliczał temu ostatniemu niepospolite swoje zasługi, oświadczył mu, że jest jednym z największych władców, ale złość i zawiść ludzka, usiłuje zaćmić jego sławę i skruszyć potęgę; niewolnik ów, wysłuchawszy go z pokorą, odpowiedział, że książe znany mu jest oddawna z zasług i z imienia, przyrzekł, że rozszerzy sławę jego po całym świecie, jakoż spełnił święcie obietnicę, wkrótce bowiem wszystkie dzienniki zabrzmiały jednocześnie pochwałami tak wielkiego księcia.... owóż niewolnik w końcu zażądał przyzwoitéj nagrody od pana, który pocierał ręką zafrasowane czoło i żadnéj nie dał mu odpowiedzi.

Długo zajęty był ks. Marcin przeglądaniem i porządkowaniem mnóstwa korespondencji, które odbierał z różnych krajów od swych ajentów i przyjaciół; doniesienia z pola konfederacji, wiadomości polityczne z Paryża, Berlina, Wiednia i Konstantynopola, nakoniec rekomendacje cudzoziemców, ofiarujących usługi księciu, stanowiły w największéj części treść rzeczonych listów. Jeszcze ks. Marcin przeglądał papiery, kiedy wszedł lokaj do jego pokoju i oddał mu list ks. kanonika Garlickiego, który nie mogąc strawić podjętéj przy obiedzie dysputy, wylał swój żal w liście do księcia, w tych słowach:

J. O. M. Książe dobrodzieju!

Zatrudniam oczy W. Ks. Mości czytaniem, nie mogąc inaczéj wygadać żalów moich, z powodu zbyt dotkliwéj boleści serca, która mię dotknęła natychmiast po powrocie z obiadu, przy którym tyle doświadczyłem przykrości. Znając porywczość humoru i języka W. Ks. M., *suplikuję*, ażebyś przy czytaniu tego pisma, zatrzymał się cierpliwie, a nie wybuchnął na mnie *dyffamacją*, bo to co piszę, jest dowodem nie obłudnego, a najwierniejszego przywiązania mego do osoby W. Ks. M., które pożyteczniejsze więcéj być może, niż potakiwanie tych, którzy z pochlebstwa, kredyt i zasługi chcą mieć, ja zaś takim fasonem, nigdy ani honoru, ani intrat nie nabywałem, nie ustępowałem też w niczém nawet książętom, choć szanowali mię i znali się dobrze na mnie, o czém nie jeden powątpiewać może, widząc dobrowolne moje teraźniejsze ubóstwo. Gdybyś W. Ks. M. czyściejszą *perspektywę* miał na mój dawniejszy i teraźniejszy charakter, kochałbyś mnie lepiéj i szanował, strzegłbyś się zasmucić mię w czemkolwiek Za usługi wyświadczone W. Ks. M., taką dziś odebrałem nagrodę, że potakiwałeś krytyce na naukę duchowną, o niewdzięczności przeciwko Bogu, w któréj materji, wypadałoby codziennie miewać kazania, bo z niewdzięczności Bóg i ludzie największą krzywdę i obelgę mają, a kazanie dzisiejsze, nie rozumiejącym go ani dobrze słyszącym, obydwóm kapelanom W. Ks. M., dam wtenczas pod korrektę, kiedy rozumniejsze i gorliwsze nad moje rozmaite mowy publiczne z ust ich usłyszę. Ks. Atanazy wyraźnie korzysta z pobytu za granicą, gdyby bowiem w Polsce chciał mnie uczyć i strofować, posiedziałby za to w ciupie bernardyńskiéj z ruski miesiąc, aniby go protekcja W. Ks. M. nie obroniła, zapomniał on z ks. Drużbackim *mores* i owéj sławnéj teologji: *a bove majori discat arare minor.* Nie wiem po co mnie ks. Drużbacki wołał na plebanję, na dysputę czyli na pojedynek w czuby? na takowe *kontrowersje* niech zawoła hajduka W. Ks. M., Wojciecha, lub którego z węgierskich paziów, bo mają być w .szkołach *consummati philosophi*, ja zaś tylko *in puris fontibusque* polityki *dyskrecji* się uczyłem, szacunku dla starszych, moralności, nauki i cnoty, w któréj lepiéj się ćwiczyłem, niż ci obydwaj kapelani co publicznie przy stole, lekcje mi dawali i reguły przepisywali, abym nie czytał kazania, kiedy nie umiem na pamięć, któréj reguły, u-

pewniam, że nie pojmie żaden kanonik, ani biskup od takich mistrzów. Mam tedy pobudkę, że skoro droga się poprawi i wody opadną, oddalę się od boku W. Ks. M. i pojadę w największy konfederacji ogień. Odkąd zostałem *matedorą* w radach W. Ks. M. służyłem mu wiernie piórem i słowem, które gdyby było znalazło zawsze chętne posłuchanie w uszach W. Ks. M., nie byłbyś w tych obrotach z nienawistnemi, którzy i mnie za to różne czynili *afronta*, że kochałem W. Ks. M. i byłem mu życzliwym. Bądź jednak W. Ks. M. pewnym, że nie zapomnę o nim i przeciwko nieprzyjaciołom jego, *solenne* poczynię manifesta i pozawieram im gębę, jak kneblem, proszę tylko W. Ks. M., abyś o mnie ani źle, ani dobrze nie gadał, a nie dozwolił lżyć nawet żartem tych, którzy są ministrami Boskiemi.... Da li P. Bóg jutro doczekać, uniżę się może J. O. Ks. z pożegnaniem.

Najniższy i wierny sługa W. Ks. M. D.
Ks. K. G. K. K. S.

List ten zasmucił wielce ks. Marcina, w pierwszéj chwili po przeczytaniu, chciał pójść do mieszkania ks. Garlickiego i przeprosić go za wyrządzoną mu obrazę, ale w skutku narady z żoną, zawezwał swych kapelanów i wymógł na nich przyrzeczenie, że nazajutrz udadzą się z nim do kanonika, w celu przebłagania zacnego kapłana, jakoż następującego poranku, rzeczeni księża, w towarzystwie księcia Marcina, odwiedzili go i przepraszali po kolei. Ks. Garlicki nie był trudny do przebłagania; akt ten pokory ze strony ks. Drużbackiego i ojca Atanazego, pokonał gniew jego i rozczulił do tego stopnia, że uściskał ze łzami w oczach obydwóch księży, zastrzegłszy tylko, że nie ważą się na przyszłość strofować starszego wiekiem i stopniem kapłana, co jest powodem zgorszenia i złego przykładu dla świeckich osób, które ztąd biorą pochop, do uwłaczania duchownemu stanowi; rzecz swoją zakończył zdaniami ojców kościoła i temi słowy: „Jeżeli my, (duchowni), poniżać się nie przestaniem, któż nas szanować będzie.?“

(*d. c. n.*)

HANNA JORDANÓWNA.

Opowiadanie z dawnych czasów.



Na zamku Dąbrowickim pana Jana Firleja, wojewody i starosty krakowskiego, muzykanci ukryci na wyniosłéj wieży, witali uderzeniem w trąby znakomitych gości, zajeżdżających w poszustnych kolasach, otoczonych zbrojną służbą. Lud wiejski cisnął się do bramy, aby lepiéj się przyjrzeć możnym panom, spieszącym na jednę z owych uczt wspaniałych, wśród których skupiało się wówczas życie narodowe. Tam to bowiem łagodziła się burzliwość stronnictw politycznych, torowała droga uchwałom sejmowym, wykształcała opinja o sprawach publicznych, a wreszcie zawiązywały się najczęściéj stosunki przy-

jazni i kojarzyły małżeństwa. Kłócono się też czasem i rwano do szabel, ale to już odwrotna strona medalu, o któréj dziś mówić niezamierzamy.

Bawialne komnaty w Dąbrowicy, podobnie jak w innych pańskich dworach, zdobiły flandryjskie obicia; porozstawiane w nich dębowe stoły przysłaniały perskie lub tureckie kobierce, krzesła zaś, opony z jedwabiu lub wełny; wszystko to wyglądało bardzo świetnie, zwłaszcza gdy zapalono żółte woskowe świece; osadzone w bujających u sufitu pająkach. Ale tą razą pachołcy krzątali się wpierw około zastawy stołów, gdyż długi dzień letni, nie prędko jeszcze miał się ku schyłkowi. Na obrusach pierwszego stołu, potrząśniętych pachnącém zielem i kwieciem, zabłysły wydobyte ze skarbca złote i srebrne naczynia. Przy stole tym, zasiąść mieli najzacniejsi goście, drugi zaś, zastawiony w przyległéj izbie, przeznaczony był dla szlachty nieposiadającéj urzędów, duchowieństwa niższych stopni i młodzieży nie senatorskich domów, gdyż powszechnie przyjętym wówczas obyczajem, zaproszeni mieścić się musieli podczas uczty, wedle godności, jaką piastowali w społeczeństwie. Zachowywano nawet różnicę w podawanych im jadłach i napojach. I tak n. p. gdy przy pierwszym stole piętrzyły się bażanty i pawie, przy drugim zastępowały je swojskie gęsi i kaczki, podobnie jak starego węgrzyna i małwazją, podlejsze wina z nadodrzańskich okolic Gąbina i Krosna, lub też miód prosty. Biesiada na Firlejowskim dworze, nie była tą razą wywołana wesołą ochotą, lecz raczéj smutną koniecznością. Na wezwanie wojewody, zjechało się mnóstwo rycerstwa małopolskiego, dla narady jakieby na wypadek przewidywanéj śmierci Zygmunta Augusta, przedsięwziąść środki ostrożności, przeciw bezprawiom i gwałtom, które łatwo zajść mogły podczas bezkrólewia. Wiadomo bowiem, że wtedy rozwiązywały się sądy przeciw możnym i szlachcie o najazdy i inne krzywdy, gdyż sądy te, mogły być wykonane jedynie przez króla, lub panów wysłanych z jego ramienia.

Ku końcowi uczty, gdy wino rozwiązało języki najmałomówniejszym, wszczął się gwar wielki i leciały gradem różne pomysły. Przyszło do tego, że natrącać poczęto, komuby przypaść powinna polska korona? i Bóg wie jak długo przeciągnęłyby się rozprawy i jakiby koniec wzięły, gdyby nagle trąby z wieży z dawna już zamilkłe, nie ozwały się znowu, oznajmując jakiegoś spóźnionego przybysza.

— Zdaje się, że widzimy tu już wszystkich miłościwych panów i braci, których dziś oczekiwaliśmy, rzekł gospodarz podchodząc do okna, nie mogę odgadnąć, ktoby nas jeszcze nawiedzał łaskawie.

Ucichły rozpoczęte rozmowy i nastało wielkie milczenie, jakoby w oczekiwaniu ważnego jakiegoś wypadku. Po chwili, rozwarły się ciężkie podwoje komnaty i wszedł mąż wspaniałéj i pięknéj urody, przyodziany czarną aksamitną szatą, cudzoziemskiego kroju.

— Szlachetny Walerjan Montelupi de Mari, zawołał witając go wojewoda. Cóż nam sprowadza tak miłego gościa? Zaprawdę ważna chyba przyczyna, bo wiemy dobrze, jak skąpi jesteście w udzielaniu się przyjaciołom. Raczcież zająć miejsce, dodał podając mu puchar, który wnet pachołcy napełnili starym węgrzynem.

— Nie weselić się, lecz smucić przybywam z wami, mówił przybyły odsuwając z lekka podany sobie napój.

— Cóż się więc stało? rzekł z niepokojem Firlej, czyżby król jegomość gorzéj się miewał?

— Przedwczoraj oddał ducha Bogu w Knyszynie, odparł Montelupi cichym, snać tłumionym od wzruszenia głosem.

Wieść o spełnioném nieszczęściu, chociażby nawet przewidywana zawsze, zda się spadać nagle. Piorun boleści uderzył w serca obecnych i wnet dokoła wybuchły głośne niewiast szlochania i mężów tłumione jęki. Wojewoda wsparł się o stół, zakrywając twarz rękami.

Montelupi cudzoziemiec, zaszczycony polskim indygenatem, dla usług oddanych przybranéj ojczyźnie, podzielał powszechną żałość, a oblicze jego nacechowane zawsze jakimś tajonym w głębi duszy smutkiem, większą jeszcze przyoblokło się żałobą. Oznajmując śmierć królewską staroście krakowskiemu, dopełniał osobiście powinności urzędu sprawowanego wspólnie z bratem, który po śmierci Piotra Maffona, mianowanym został przez Zygmunta Augusta naczelnikiem wszelkiéj komunikacji w polskim kraju. Korzystając z powszechnego zamieszania, z powodu smutnéj wieści, którą przyniósł, chciał już nieznacznie opuścić Dąbrowicki dworzec, gdy przypadkiem wzrok jego spoczął na młodziuchnéj dzieweczce, która spuściwszy ku ziemi pełne łez oczy, przycisnęła ręce do piersi, jak gdyby powstrzymując gwałtowne serca bicie.

— Boże mój! Boże mój! *Ginevra!* wyrzekł i postąpił kilka kroków naprzód. Potém jakby mu sił iść daléj nie stało, wsparł się o krzesło szepcząc cichym głosem: byłożby to złudzenie wzroku?.... Wzruszenia tego nikt nie dostrzegł, prócz siedzącego tuż obok kasztelana Żarnowieckiego, który też wnet zapytał drugiego sąsiada:

— Czemu ten włoch tak patrzy na dziewkę pana Spytka Jordana, jak gdyby ją chciał urzec oczyma?

Zagadniony nie mógł nic odpowiedzieć, bo właśnie w téj chwili gospodarz opamiętawszy się w swéj żałości, powstał i przemówił do zgromadzonych, wzywając aby niezwłocznie zjechali do Krakowa, gdzie już publicznie obradować będą nad dobrem rzeczypospolitéj, a zwłaszcza nad tém, jakby natychmiast obwarować pograniczne węgierskie zamki, aby

chciwy panowania dom rakuski, nie pokusił się wpaść tamtędy, dla porwania gwałtem korony. Gdy wojewoda rzecz swoją przełożył, wszyscy poczęli spiesznie zabierać się do odjazdu i Montelupi, który ciągle jeszcze nie spuszczał wzroku z młodéj dziewczyny, oprzytomniawszy trochę, wyszedł wraz z drugiemi. Zamek rozlegający się przed chwilą gwarem biesiady, dziwnie teraz osamotniał, rzekłbyś, że ręką potężnego czarownika, siedziba weselnéj ochoty, nagle przemienioną została w pustkowie.

W wązkiéj uliczce w pobliżu rynku, wznosiła się w Krakowie kamienica braci Montelupich. Powierzchnią nie różniła się od innych, wewnątrz jednak ściany, obite jedwabną materją, ramy drzwi i okien kunsztownie rzeźbione, a wreszcie szyby ze szkła kolorowo wypalonego w ogniu, wskazywały zamożnych właścicieli. Obszerne komnaty strojne były w różne zamorskie dziwy, porozstawiane na półkach, gdzie także migała już porcelana i świeciły kielichy ze szkła kryształowego.

Sebastjan Montelupi, mąż poważny o czarnych włosach, przypruszonych z lekka szronem siwizny, siedział pogrążon w głębokiéj zadumie, przed stołem pokrytym kosztownym kobiercem, na którym rozłożone były stosy papierów, gdy Walerjan wszedł szybkim krokiem i rzucił się w jego ramiona.

— Opowiedz że miły mój, rzekł po skończoném powitaniu pan Sebastjan, jak spełniłeś posłannictwo twoje i jakie ono wywarło wrażenie. Żałująż li jak przynależy, dobrego pana? Jest że nadzieja, że zgodnie przystąpią do wyboru nowego króla?

— Za krótko bawiłem w gronie szlachty małopolskiéj, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania, wiem tylko, że wieść którą poniosłem w dom starosty, żałosne tam wywoływała skargi.

— Oj! biedaż, bieda, krajowi temu, bo utracił raczéj ojca swego ludu, aniżeli księcia. Był on i dla nas panem szczodrobliwym i uprzejmym, to téż od czasu, gdy opuścić musieliśmy dom ojców, nic równie ciężko nie dotknęło mego serca. Ot teraz właśnie przeglądałem listy, któremi udarowywał mię niekiedy w łaskawości swojéj.

Walerjan rzucił okiem na rozłożone na stole pisma i machinalnie wziął jedno z nich do ręki, zaledwie jednak przebiegł je oczyma, zbladł i wsparł się o krzesło silnie wzruszony. Był to list nieboszczyka króla, pisany do pana Sebastjana, a brzmiał w następującéj osnowie:

Sigismundus Augustus.

„*Nobilis fid. dilecte.* Dano nam znać, iż jedzie tu do korony naszéj ; niejaki Aleksander Picharoni de Mirandola, z drugim szlachcicem weneckim Melchiorem de Michelis, młodzieńcem we dwudziestu leciech i z inszém snać towarzystwem, którzy wszyscy umyślili jechać do nieprzyjaciela naszego. A tak rozkazujemy wam, abyście na to pilne oko mieli i mieć sługom swym rozkazali, jakobyście go w ręku mieć mogli, a przeszpiegowawszy tę rzecz, urzędowi naszemu znać dali, jakoby go zatrzymano aż do nauki naszéj; w czém posyłamy wam mandat do urzędu, który oddacie za potrzebą. Inaczéj nie czyńcie pod łaską naszą.“ (*)

— *Melchiore de Micheli*, zawołał po chwili Walerjan stłumionym głosem, młodzieniec we dwudziestu leciech.... szlachcic weneckiéj rzeczypospolitéj.... a więc to syn jéj?.... a potém wpatrując się badawczo w twarz brata, dodał: List ten rok już przeszło pisany.... czemuż nie wspominałeś mi o tém?....

— Nie chciałem poruszać zarzewia boleści, pragnąc je pokryć popiołem zapomnienia.

— O nie, boleść ta wiecznie żywą będzie! lecz mów daléj, co się z nim stało? ująłeś go?

— Spełniłem rozkaz królewski, potém zaś wybadawszy najpierw uwięzionego wraz z innemi młodzieńca, ułatwiłem mu ucieczkę, przykazując, aby nie ważył się powracać tu więcéj.

— O dzięki ci, dzięki, miłość twoja dla mnie zawsze jest czujną i wierną! czy mówił co o matce swojéj?....

— Nie wiele.... nie było zresztą po temu czasu....

— Ale cóż przecie? Jakimże sposobem syn Ginevry, mógł knować dla podłego zysku?.... bo cóżby innego skłonić go mogło do niesławnego dzieła?

— Nie był on tyle winnym ile się zdaje; pozostawiony sam sobie, dał się nakłonić do téj podróży, jedynie dla przygód, których był chciwy, a nie zaś dla korzyści jakiej....

— Co mówisz? pozostawiony sam sobie? Byłżeby on sierotą?

— Dawniéj już stracił ojca.... a teraz....

— Nie kończ.... nie wymawiaj strasznego słowa, które już odgadłem.... zawołał porywając się z krzesła Walerjan i wybiegając spiesznie jak gdyby mu nagle zabrakło powietrza w piersiach.

Pan Sebastjan po chwili dopiero pośpieszył za bratem; zastał go w przyległéj komnacie, pochylonego ku ziemi, przed wyobrażeniem Najświętszéj dziewicy, umieszczoném w maleńkiéj kapliczce, mającéj przedstawiać domek Marji, *la santissima casa di Nazaret*, z Loreto. Oblicze Walerjana napiętnowane boleścią, lśniło zarazem błogim jakimś spokojem, który snać zstąpił do jego duszy w modlitwie.

— *O cara mia!* szeptał z cicha w rodzinnéj mowie, śmierć powraca mi ciebie, zrywając węzeł krępujący uczucia nasze na ziemi!

(*) Pismo to, wraz z kilkoma innemi listami Zygmunta Augusta do Sebastjana Montelupi, znajduje się w zbiorach biblioteki hr. Krasińskich.

Teraz już tyś moja na wieki, bo i cóż zniweczyć może wielką nieśmiertelną miłość dusz dwojga, gdy sam Bóg je połączy, uświęcone cierpieniem życia!

Tego samego jeszcze wieczora, obaj bracia wiedli dalszą rozmowę w komnacie, gdzie Walerjan spoczął po wzruszeniu dziennem i trudach podróży.

— Sebastjanie mój, wyrzekł, nie wspominałem ci jeszcze, że miałem widzenie, które nie było może prostém złudzeniem zmysłów, jak to sądziłem zrazu. Tak, widziałem Ginewrę, Ginewrę taką, jak była w pierwszéj krasie młodości, ona sama, albo dusza jéj raczéj, objawiła mi się w Dąbrowicy.

Pan Sebastjan uśmiechnął się smutnie.

— Ach! wiem już, co dało powód złudzeniu temu, rzekł, znam dzieweczkę, wychowankę wojewodziny, która dziwnie podobna do biednéj krewnéj naszéj.

— A więc będę ją mógł zobaczyć jeszcze, mówił Walerjan, podnosząc głowę wspartą na poduszkach, o dzięki niebu!

— Pani wojewodzina niezwłocznie tu przyjedzie za mężem, zabiera z sobą za zwyczaj wszystkie panny dworskie, a więc i Hanna Jordanówna wraz z nią pewno przybędzie, a wtedy da Bóg, poznacie się lepiéj, rzekł Sebastjan z niezwykłą żywością; widocznie przyszła mu jakaś myśl pocieszająca, któréj jeszcze wyjawić nie chciał.

Obaj bracia Montelupi, oddawna zamieszkiwali w Polsce. Znani byli powszechnie dla usług oddanych krajowi i wielkiéj zacności swojéj, przeszłość ich jednakże, nie była świadomą nikomu. Florencja była im ojczyzną, *Firenze la bella*, jak ją zowią szczęśliwe jéj dzieci, czemuż więc porzucili czarowną tę krainę, dla mglistego nieba północy? Zaprawdę nieszczęście tylko mogło do tego nakłonić i tak też było w istocie. W pełnym dostatków i swobody domu rodziców, minęły im pierwsze lata młodości. Ginewra uboga pokrewna, sierota, chowała się z niemi pospołu. Gdy podrośli w lata, rodzice widząc skłonność dla niéj Walerjana, przeznaczyli mu ją za żonę. Oboje młodzi przeżyli lat kilka w miłości i szczęściu i już zbliżała się pora, w któréj zamienić mieli pierścienie narzeczonych na ślubne obrączki, gdy nagle nieprzewidzianemi wypadki, zamąciło się źródło ziemskiéj pomyślności. Dom handlowy rodziców, stanowiący niezmierne ich bogactwa, zachwiał się, a następnie runął w swych posadach. Raptowne przejście z dostatku do nędzy, ciężkie było dla ludzi, których długie nawyknienia, czyniły niesposobnemi do rozpoczęcia na nowo życia w ubóstwie i pracy. Obaj synowie i Ginewra przybrana córka, rozmyślali nad zaradzeniem niedostatkowi, a rzecz to była nie łatwa. Postanowiono wreszcie, że Sebastjan i Walerjan udadzą się do Polski, gdzie zawsze cudzoziemcy gościnne znajdowali przyjęcie i tam probować będę szczęścia, a Ginewra pozostanie przy rodzicach, aby słodzić ich niedolę, dopóki synom los się nie uśmiechnie. Małżeństwo jéj z Walerjanem odłożoném zostało do tejże pory. Ale niestety! wyczekiwanie pomyślności stało się za długie, biedni rodzice wyczerpnęli ostatki mienia i straszliwe widmo nędzy stanęło w ich progu. W tych czasach właśnie, zjawił się we Florencji bogaty wenecjanin Melchior de Micheli. Pewnego wieczora, ujrzał Ginewrę modlącą się w kościele i odtąd śledził wszystkie kroki młodéj sieroty, a powziąwszy bliższe o niéj wiadomości, postarał się o wstęp do domu przybranych rodziców i ofiarował swą rękę wraz z dostatkiem. Straszna walka wszczęła się wtedy w sercu dziewicy, pomiędzy miłością dla Walerjana a obowiązkiem dla tych, którzy rodzicielską pieczą, osłodzili jéj sieroctwo. Potrafiła jednakże uczynić z siebie ofiarę i z sercem rozdartém, ciężkim bólem, oddała rękę poważnemu mężowi, który przyrzekł otoczyć pomyślnością dni ich ostatek. Uwiadomiła Walerjana o tém postanowieniu, pismem, w którém wypowiadała cały stan swéj duszy; pismo to, odebrał właśnie wtedy, gdy mu pomyślniejsza jaśnieć poczęła gwiazda. Szczęście, jak to bywa za zwyczaj, przyszło za późno. Walerjan nie powrócił już więcéj do Włoch i nie ujrzał Ginewry, lecz pamięć o niéj, przechował w głębi duszy. Szlachetna niewiasta, z uśmiechem rezygnacji męczeńskiéj na ustach, cieszyła się pomyślnością opiekunów swoich, którzy nie domyślając się nawet, jak wielką dla ich spokoju poniosła ofiarę, błogosławiąc ją, zasnęli na jéj ręku. Wkrótce połączyła się z niemi, jak gdyby już spełniła posłannictwo swoje na ziemi. Zostawiła sierotą jedynego syna, młodzieńca, o którym właśnie widzieliśmy wzmiankę w liście królewskim.

Smutny widok przedstawiał stary gród krakowski, osierocony stratą ostatniéj męzkiéj latorośli szczepu, pod którego błogim cieniem, rozrastał się lat tyle w potędze i sławie. Wielu panów koronnych, pojechało do Knyszyna nawiedzieć zwłoki zmarłego króla, królewna Anna wraz z dworem swoim bawiła w Łomży, więc żałobne miasto, ożywiało się jedynie przybyciem gości, co bardzo na teraz licznie ze wszech stron zjeżdżali.

W kilka dni po opisanéj przez nas powyżéj rozmowie obu braci, pani wojewodzina Firlejowa, przybyła wraz z mężem. Niezadługo potém pan Sebastjan Montelupi, skierował kroki swe do wązkiéj kamienicy w rynku, którą zajmowała. Stanąwszy u progu, rozkazał pachołkom, aby oznajmili pani jego przybycie, a gdy drzwi przed nim rozwarto, posunął śmiałym i pewnym krokiem i powitał zgromadzone w komnacie niewiasty nizkim ukłonem.

— Witamy was radzi, rzekła pani Firlejowa, czemuż zawdzięczamy tak miłego gościa?

— Po sąsiedzku mieszkamy, miłościwa pani, toć i odwiedzić was wypadło; a przytém

radbym wam powiedzieć kilka słówek na osobności....

— I owszem i owszem. Mościepanny, uwalniam was na dzisiaj od roboty, idźcie do komnat waszych zająć się czemś pożytecznem, przez resztę wieczora, bo nie pora teraz do śmiechów i żartów.

— Czestna pani, rzekł pan Sebastjan, pozostawszy sam na sam z wojewodziną, zadziwicie się może tém, co wam powiem, lecz wolę od razu przedstawić rzecz całą, aniżeli narażać siebie i inną drogą mi osobę na próżne obałamucenie.

— Mówcie śmiało, zanadto was poważamy abyśmy sądzić mieli, że zażądanie wasze, obrazić nas może.

— Owóż tedy miłościwa pani, skoro mię ku temu ośmielacie, w kilku słowach wyłożę, o co rzecz idzie. Wiecie, że mam jedynego brata, którego pomyślność, droższa mi nad moją własną. Życie jego, oddawna przysłonione ciężką żałobą, z powodu miłości dla niewiasty, która była mu zmówioną, a ślubować musiała wiarę innemu. Mogiła jéj, od roku już pokryła się trawą i kwieciem, a on jak wpierw, tak i teraz myśli jeno o niéj. Nie podobna mi było dotąd marzyć dla niego o związku, z inną, w którymby znaleźć mógł zapomnienie swéj boleści, lecz teraz właśnie, w cudowny prawie sposób, nastręcza się ku temu pora....

— W czemże więc pomocną wam być mogę, czyż upatrzyliście dla niego żonę w gronie panien moich dworskich? mówiła z uśmiechem pani Firlejowa.

— Tak, nie inaczéj, czestna pani. Wychowanka wasza Hanna Jordanówna, dziwném podobieństwem do owéj niewiasty, którą ukochał niegdyś, zwróciła na siebie jego oczy. Daleko jednakże do tego, aby miał się starać o jéj dozgonną przyjaźń, ja to tylko myśl tę powziąłem i postanowiłem zapytać, azali przeciwną wam nie będzie?

— Brat wasz, aczkolwiek starszy wiekiem od Hanki, piękną postawą i zacném imieniem, może łacno skłonić ku sobie ubogą sierotę, co do mnie, dopomogę temu, o ile tylko w mocy mojéj.

— O temże chciałem się zapewnić najpierwéj, a skoro mam łaskawe słowo wasze, ufam, że reszta dobrze pójdzie i zabiegi moje pomyślny skutek uwieńczy.

W dalszéj rozmowie, która przeciągnęła się jeszcze długo, pan Sebastjan prosił o zachowanie najgłębszéj tajemnicy o tém, co przedsięwziął; przyrzekła mu to wojewodzina rada, że tak pomyślny los nadarzał się dla ulubionego jéj dziewczęcia. Walerjan Montelupi bowiem, równie jak brat, był panem znacznych dostatków i używał nieskażonéj sławy.

Długo pan Sebastjan nie mógł znaleźć sposobnéj pory do spełnienia powziętego zamysłu. Walerjan krzątał się bowiem więcéj niż kiedy, około czynności swego urzędu i rzadkim był gościem w Krakowie, gdyż była to pora wielkiego ruchu w całym kraju. Wielkopolanie zwołali sejm w Środzie, a Małopolanie w Proszowicach, aby obmyślać uchwały względem elekcji. Obwarowywano miasta i zamki, strzegąc się wejścia nieprzyjaciela podczas bezkrólewia. Tak upłynęło kilka miesięcy, poczém wszystkie stronnictwa mniéj lub więcéj zgodziły się na wybór francuzkiego księcia, Henryka de Valois. Pani Firlejowa bawiła ciągle w Krakowie ze swym dworem i zdarzyło się wreszcie, że pan Walerjan dał się namówić bratu, żeby ją odwiedzić. Powtórne widzenie Hanny, równie jak pierwéj, żywe na nim uczyniło wrażenie. Zwolna nakłonił się bywać częściéj u wojewodziny, zapraszany przez nią uprzejmie i uważano nawet potém, że uczęszczał na przechadzkę po nad Wisłą, gdzie jéj dworskie panny, kierowały swe kroki i rad przebywał z niemi w ogrodach zamkowych. Dziewczęta szeptały pomiędzy sobą, że Hanna Jordanówna zwróciła na siebie oczy męża, który dotąd nie dawał baczności żadnéj, na wdzięki niewieście. Dziewczyna też zda się, nieprzyjazną mu nie była, lubo skromna i poważna, jak na pannę w zacnym domu wychowaną przystało, nie okazała tego słowem ni gestem. Przybycie króla Henryka i uroczystości wyprawiane z tego powodu, rozdzieliły na czas jakiś pana Walerjana z Hanną, nie uczestniczył bowiem w nich mąż stateczny.

W orszaku królewskim, znajdowało się mnóstwo cudzoziemskiéj szlachty, oraz nuncjusz papiezki Wincenty Lauro, biskup z Mondovi, któremu towarzyszyło grono współziomków. Wszyscy cudzoziemcy hojnie podejmowani przez polskich panów, oddawali się zabawom i uciechom, znów więc bardzo gwarno i ludno było w staréj jagiellońskiéj stolicy.

W poniedziałek zapustny, król Henryk zasiadłszy na majestacie ustawionym wśród rynku, przyjmował przysięgę na wierność miasta i pasował kilku rycerzy. Cały dwór, oraz możni panowie i panie, zajmowali miejsca do koła na ustawionych siedzeniach, lub w oknach pobliskich domów. Pani Firlejowa wraz z Hanną i innemi pannami swemi, w świątecznych strojach, była również obecną całéj uroczystości. Nagle tuż obok niéj, wszczął się rozruch w tłumie, bo na skinienie pana Sebastjana Montelupi, kilku zbrojnych uprowadziło młodego człowieka w cudzoziemskim stroju. Wypadek ten przeszedł prawie niepostrzeżenie dla reszty widzów. Hanna tylko zbladła i wydała słaby okrzyk przerażenia, a towarzyszki jéj, coś szeptać poczęły ze złośliwym uśmiechem. W kilka godzin potém, wszyscy przejęci zostali do żywego zajściem pana Samuela Zborowskiego z kasztelanem przemyślskim Wapowskim i nie było już mowy o czemkolwiek innem w mieście.

We dwa dni później, gdy pan Walerjan w wieczornéj porze dumał jak za zwyczaj

samotnie, znać mu dano, że młoda jakaś niewiasta, pragnie z nim pomówić na osobności. Skinął ręką, aby jéj wejść dozwolono i wnet smukła postać, otulona białym rąbkiem, nieśmiało wsunęła się do komnaty.

— Cóż mi powiedzieć chcecie, rzekł witając ją ze zwykłą sobie dwornością. Kobieta uchyliła wtedy zasłony i poznał Hannę drżącą i wybladłą.

— Miłościwa panno, rzekł tłumiąc wzruszenie na widok tak niespodziewany, w czemże pomocnym wam być mogę?... Cóż was tutaj sprowadza?....

— Wy jedni przywrócić mi możecie utracony spokój, rzekła wlepiając weń błagalne wejrzenie, pełne niewysłowionéj słodyczy. Dziwne nieznane oddawna uczucie przejęło na wskroś pana Walerjana. Ujrzał znów przed sobą żywy obraz Ginewry i pomyślał: Ach! gdyby tak było w istocie... gdyby ona skłoniła ku mnie swe serce....

— Spocznijcie, proszę, rzekł ujmując w obie dłonie drżącą rękę dziewicy i powiedźcie co mam czynić?

— Zdało mi się, rzekła zawsze z cicha Hanna, że macie dla mnie przyjazne uczucia.... czyż nie omyliłam się?....

— O nie! odparł z zapałem, głos twój, równie jak oblicze, przypomina mi inny głos luby, umilkły już dla mnie na zawsze.... mów....

— Lękam się.... nie śmiem.... wyjąknęła żywym płonąc rumieńcem.

— *O cara mia!* szepnął mąż składając ręce jakby do modlitwy i pochylając się ku niéj w błogim zachwycie ducha. Lecz Hanna nagle przerażona, nie rozumiejąc czem, objawem współczucia, o które błagać przychodziła, cofnęła się ze drżeniem.

— Przychodzę prosić litości nie dla siebie, lecz dla osoby, któréj spokój i bezpieczeństwo droższe mi nad własne, rzekła.

Zimno lodowe przejęło od stóp do głowy pana Walerjana, bo zrozumiał wtedy, że serce Hanny wolném już nie było, a jedynie przyjacielskie zaufanie, skłoniło ją do szukania u niego pomocy i opieki.

— Ach! czemuż patrzycie tak ponuro, mówiła przestraszona dziewica, czemże niebaczna niechęć waszą obudzić mogłam?

— Mów dalej, rzekł przezwyciężając się Walerjan i wierzaj, że uczynię wszystko co będzie w méj mocy, aby spełnić twe życzenia.

— Czy tak? rzekła ośmielona Hanna, uśmiechając się znowu; dzięki wam! ale bądźcież cierpliwi proszę, bo powieść moja długą będzie.

I z dziecinną poufałością przysunęła swe krzesło do pana Walerjana i pochyliwszy się ku niemu, szybko półgłosem rozpowiadać poczęła dzieje swéj doli sierocéj. A dzieje te streszczały się całe w słowach, że pozbawiona od dzieciństwa miłości rodzicielskiéj, tęschniła zawsze za uczuciem, któreby brak jéj w sercu zastąpić mogło.... Nikt dotąd nie zajął jéj wyobraźni, lecz niedawnemi czasy, zjawił się w Krakowie w orszaku biskupa z Mondovi, piękny i szlachetny cudzoziemiec, który potrafił skłonić ku sobie wszystkie jéj uczucia.... Słowa te powiedziała tak cicho, że pan Walerjan odgadł je raczéj, aniżeli dosłyszał.

....Młodzieniec ów, w dzień koronacji króla, przytrzymanym został na rozkaz pana Sebastjana Montelupi i dziś chodziły po mieście wieści, że surowo karany będzie jako winny powrotu do kraju, z którego raz już wydalonym został. Posłyszawszy to, pokonała wstyd i bojaźliwość niewieścią i przyszła prosić pana Walerjana, aby się wstawił do brata.

— Imie jego, imie! rzekł stłumionym głosem pan Walerjan.

— Zowie się *Melchiore de Micheli*, jest szlachcicem rzeczypospolitéj weneckiéj, odparła Hanna.

Dziwna walka powstała w sercu Walerjana, bo z dawna uśpione uczucie, rozbudziło się nagle w chwili, gdy je właśnie pokonać musiał. Ginewra i Hanna, zdały mu się teraz jedną postacią, a między nim a nią, stał znów syn człowieka, który wpierw wydarł mu szczęście całego życia. Głowa jego płonęła, serce krwawiło się, chodził szybkim krokiem, przyciskając ręce do piersi, jak gdyby stłumić chciał gwałtowną boleść. I wreście mąż zapanował nad sobą i jako fale morskie rozbijające się o brzeg skalisty w czasie nawałnicy, gdy się niebo rozchmurzy, zwolna przypływają do brzegu, tak spokój przystępować zaczął do miotanéj burzą duszy.

Hanna patrząc na wzruszenie pana Walerjana, nie śmiała badać jego przyczyny, lecz strapiona głęboko, stała w milczeniu, czekając przychylnego słowa.

Po chwili, zbliżył się do niéj i składając ojcowski pocałunek na czole dziewicy, wyrzekł:

— Nie zawiodę ufności twéj, droga córko Ginewry! idź w pokoju! I sam zarzucił jéj zasłonę i podawszy rękę, w milczeniu odprowadził do kamienicy pana Firleja.

Pan Sebastjan mając ze swego urzędu obowiązek czuwania nad podejrzanemi ludźmi, pojawiającemi się w rzeczypospolitéj, nie od razu posłuchał wstawienia brata za niebacznym młodzieńcem, gdy jednakże przekonał się późniéj, że Melchior przybył do Polski jedynie w celu przypatrzenia się uroczystościom koronacji króla Henryka, zachęcony ku temu przez krewnego swego biskupa z Mondovi, który się też za nim wstawił, zezwolił, aby powtórnie uwolnionym został.

Niezadługo potém w kościele Panny Marji w Krakowie, odbyły się zaślubiny Melchiora de Micheli z Hanną Jordanówną, poczém młodzi małżonkowie udali się do Włoch, aby nie powrócić już więcéj. Następnie w tymże kościele stanęła grobowa tablica, na któréj prze-

chodzień po dziś dzień czytać może imie Walerjana Montelupi de Mari, obok imienia jego brata, zmarłego w kilka lat potém

A. z Ch. Borkowska.

DZIEWIC-WIECZÓR.

Powieść J. D. H. Temme, przełożona z niemieckiego.

(*Ciąg dalszy*).

Poborca znając prawie wszystkich gości, wdał się z niemi w rozmowę, nie zapominając przytém mego interesu; a wziął się do tego z taką zręcznością, że ani siebie nie zdradził, ani też nikogo nie wprowadził w zadziwienie; jego humor i jowjalność, bardzo mu się na teraz przydały. Nic jednak się nie dowiedział i już wymawiałem sobie, żem tu na próżno przyjechał. Gdy w tém podszedł do niego lokaj, szepnął mu kilka słów na ucho, on zaś za całą odpowiedź kiwnął tylko głową, poczém zwrócił się do mnie.

— Na słówko, rzekł.

— Co takiego?

— Rządca Holm czeka za domem i chciałby ze mną pomówić.

— A cóż to do mnie należy?

— Chciałem cię prosić, żebyś mi towarzyszył; nie wiem dla czego, ale mi się cóś zdaje, że on ma wiadomości, które nie tylko biedną matkę, lecz i ciebie interesować mogą.

Mógł mieć w tem słuszność. Opuściliśmy towarzystwo i wtedy dopiero zauważyłem, że tajemniczy narzeczony, nie spuszczał z nas oka; oddalając się, widziałem jeszcze jego ogniste i przenikliwe spojrzenie zwrócone na nas.

Poszliśmy najprzód do domu, a ztamtąd dopiero weszliśmy na podwórko.

Ukryty dotąd za drzewem, obaczywszy nas, wystąpił rządca Holm. Był to przystojny, młody człowiek, który zdawał się łączyć zarazem dobroć i energję. Zdziwił się, obaczywszy mnie obok poborcy.

— Przyjaciel mój, rzekł poborca nazywając mnie po imieniu.

Bardziéj się jeszcze zdumiał, był niespokojny, dostrzegłem nawet, mimo ciemności, że patrzał na mnie z niedowierzaniem; potém zwróciwszy się do poborcy:

— Przepraszam pana, rzekł, żem pana fatygował; byłem w wielkim kłopocie, ale obaczywszy pański powóz, postanowiłem udać się do pana.

— Czego pan żądasz odemnie, panie Holm?

— Mam maleńką prośbę.

— Cóż takiego?

— Proszę powiedzieć pani Bertossa, że ja tu jestem i oczekuję na nią.

— Ależ kochany panie Holm, czemu pan sam się nie udasz do pani Bertossa? dla czego pan w ogóle nie należysz do towarzystwa?

— Jakto! w tym stroju? zapytał on, gorzko się uśmiechając.

— Cóż to znaczy, żeś w takiém ubraniu dzisiaj?

Holm zamyślił się chwilę.

— Już nie należę do nich, rzekł, wreszcie, nie jestem już w tym domu.

— Pan opuściłeś ich.

— Odprawili mnie sami,.... nie,.... nie,.... to ja sam.... musiałem tak.... ale to do rzeczy nie należy.

— Owszem, bardzo należy, kochany panie Holm. Cóż pana zmusiło do opuszczenia tego domu?

— Co mnie zmusiło!? Ach! pan to lepiéj wiesz, pan dość często tu bywał... zapewne pan sam to spostrzegłeś?.... wymówił z głębokim żalem.

— Tak, tak, biedny Holmie! uważałem nawet teraz jeszcze, jakem był w ogrodzie....

— Cicho, cicho panie radco, nie po to tu przyszedłem, idzie o rzecz zupełnie inną, ale pan chciałeś wiedzieć, co mnie zmusiło do wystąpienia z tego domu, raczéj, kto mnie ztąd wypędził. Nie pan Bertossa, ani jego żona; oboje byli mi życzliwi i gdyby to od nich zależało!.... nie Ulryk, ten był moim przyjacielem! ale ten baron! on tu całym domem trzęsie i jest prawdziwym panem domu. W wigilją ich zaręczyn, wyjechałem, musiałem zrobić to poświęcenie. Moja miłość, mój honor, spokój i życie biednéj Rozalji, pokój tego domu, wszystko, wszystko wymagało po mnie téj ofiary. Teraz pan wiesz wszystko, byłeś zawsze z taką przyjaźnią dla mnie i dla Rozalji, czy zechcesz teraz przychylić się do mojéj prośby?

— Bądź tego pewnym, kochany panie Holm.

— Jeszcze jedno. Poproś pan panią Bertossa osobiście, tak żeby baron nie uważał, bo jéj nie puści; dla tego nie mogę posłać do niéj lokaja.

— Bądź spokojny. Baron nic nie dostrzeże, a gdyby nawet dostrzegł, przyprowadzę

panu sam panią Bertossa, ma się rozumieć że bez niego.

Zdawało się, że po tych słowach, ciężar spadł z serca Holma. Pomyślałem, że przyjaciel mój tak sobie rozumnie poczynał, że prawdziwie zasługiwał być raczéj urzędnikiem policji, niżeli poborcą podatków.

— Jeszcze jedno pytanie, rzekł najobojętniéj, nie widzę tu pana Bertossa, przecież by nie wyjechał w taki dzień?

— Nie ma go tu, odparł młody człowiek.

— Zdaje się, że i syna jego Ulryka także nie ma?

— Nie ma, nie ma! rzekł pośpiesznie Holm.

— Czy i o nim wiesz cokolwiek?

— Nic.... nic.... odrzekł Holm, cedząc swoją odpowiedź.

Poborca więcéj nie nalegał, szanując tajemnicę nieszczęśliwéj matki. Ja także nie śmiałem o nic pytać, żeby się nie zdradzić.

— Za kwandrans będzie pani Bertossa u pana, rzekł odchodząc poborca.

Powróciliśmy znowu do ogrodu, w chwili, kiedy właśnie kończono taniec przy nas rozpoczęty. Wedle zwyczaju, przyjaciele i przyjaciołki narzeczonych, poczęli przedstawienia małych scen wiejskich, po większéj części wyjętych z życia panny młodéj. Wszyscy przypatrywali się temu widowisku z wielkiém zajęciem, nawet baron Föhrenbach. Opodal siedziała matka, ale tak, że ją baron zawsze miał na oku. Wszeleko udało się memu przyjacielowi stanąć niepostrzeżenie za jéj krzesłem; a stojąc obok niego, widziałem jak się nachylił do niéj i słyszałem jak szepnął jéj na ucho:

— Pani, pewna osoba, życzy sobie z panią pomówić.

— Kto? spytała przelękniona.

— Pani się domyśla.... Holm.

— Czy mówił panu, czego chce odemnie?

— Nie.

— Gdzież on jest?

— Na dziedzińcu przed domem. Czy pani każe siebie zaprowadzić?

— Obejrzała się nieśmiało na barona, ten w téj chwili na nią nie patrzał.

— Proszę, rzekła zgadzając się. Wstała, cofnęła się, żeby z poza otaczających, spojrzeć raz jeszcze na tego człowieka. Spostrzegł teraz że się podniosła, obaczył za jéj krzesłem poborcę i aż zatrząsł się z gniewu; chciał iść ku niéj, lecz wstrzymał się, zapewne żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Pani Bertossa obejrzała się raz jeszcze; w tém zadrżała. Spojrzałem znowu w jedną z nią stronę i ujrzałem najprzód, jak baron Föhrenbach zbladł; potém, dostrzegłem naprzeciw niego, małego brzydkiego niemłodego już człowieka. Stał on również blady, dotąd jeszcze niepostrzeżony, od reszty towarzystwa.

— Mój mąż! krzyknęła pani Bertossa i szybko cofnąwszy swoją rękę, pobiegła w stronę, gdzie stał nieznajomy.

Był to w istocie gospodarz tego domu. Nie mogłem odwrócić oczu od niego. Tak widziałem go kiedyś i wiem nawet gdzie; teraz przypominam sobie, gdzie i pana barona widziałem i na to wspomnienie, przykre, uczucie ogarnęło moją duszę. Znałem tego brzydkiego bladego człowieka z zaciśniętemi wargami. Jakżeż okropnie postarzał przez te kilka lat, od czasu jakem go pierwszy raz widział! Jakżeż włos jego zbielał, włos, który wówczas był jeszcze czarny jak heban! Jakie głębokie zmarszczki wyryły się na téj brzydkiéj twarzy, czyniąc ją jeszcze szkaradniejszą! A jednak, (chociaż nazwisko Bertossa było mi zupełnie obcém), gdyby nawet żaden nerw w jego twarzy nie drgnął na mój widok, to i tak byłem pewnym, że to musi być koniecznie ten sam człowiek, którego widziałem kiedyś, bo obraz jego, zanadto żywo stał mi w pamięci. Jakżeżby inaczéj pan baron von Föhrenbach, znajdował się tu u niego? I że oni obecnie, stali do siebie w odwrotnym stosunku; wszystko to się zgadzało z moim domysłem, jak najlepiéj.

Pani Bertossa, spotkawszy się z mężem, spytała go o coś tak przestraszona, że aż usta jéj drgały; on jéj odpowiedział przecząco poruszeniem głowy i oboje znikli w tłumie.

— Co ci jest? spytał mnie mój przyjaciel, którego bystre oko, nie na same słodziny i kadzie, lecz i na ludzi uwagę zwracać umiało. Pewno i z tym miałeś jakiś interes?

— Nie, odpowiedziałem krótko.

— Ale znasz go?

— Znam.

— A teraz, pewnoś sobie i tego drugiego przypomniał?

— Czy masz moc czytać w mojéj duszy?

— Nie, ale w twojéj twarzy; a ponieważ w niéj z taką łatwością się czyta, zapewne i ten drugi, ten baron, téż tę sztukę dobrze posiada; zatém sądzę, że byłoby nie od rzeczy, gdybyśmy się trochę cofnęli. Otóż patrzaj, z twarzy pana Bertossa nie widać, żeby on ciebie gdzie wprzódy widział.

— On mnie téż i nie zna. Tak przynajmniéj sądzę.

— Tak sądzisz? Hm! zdaje mi się, że i baron Föhrenbach nie dba o to, że widział ciebie tak blizko swego przyszłego teścia.

— On téż nie wie, że ja znam pana Bertossa.

— A jednak znałeś ich obydwóch w blizkich niegdyś stosunkach z sobą?

— W bardzo bliskich.

— Czy mogę dowiedzieć się szczegółów?

— I owszem. Będę nawet potrzebował twojéj pomocy i rady. Wkrótce zapewne, tu na tém miejscu, będę bardzo czynnym, chociażby dla tego biednego dziewczęcia....

— Dla narzeczonéj?!

— Ona nie powinna zostać jego żoną.

— Ach! kochany mój Holm!....

— A jednak! cóż może być okropniejszego, dla tego biednego dziecka i dla nieszczęśliwéj żony! Ujdą jednego złego, aby popaść w drugie.

— Jesteś zagadkowy, rzekł poborca, opowiadaj prędzéj.

Cofnęliśmy się do jednego z przyległych klombów; aktorowie nieskończyli swego przedstawienia, wysilając się w dowcipie i żartach. Narzeczony siedział ponury, jego błyszczące oczy były niespokojne, twarz blada i zapadła, myśli widocznie gdzieindziéj błądziły. Obok niego, narzeczona; wyglądała jak anioł cierpienia i smutku. Patrząc na uśmiech, do którego się zmuszała, widziałeś łzy ukryte w sercu. Czyjażby dusza nie zapłakała z nią razem?! Ojciec i matka odeszli na stronę, a tém samém powiększyli ciężar jéj smutku. Ja z moim przyjacielem stałem na uboczu.

— Ale twój biedny Holm, rzekłem przed zaczęciem mego opowiadania, obiecałeś wrócić do niego za kwandrans.

— Poczeka. Może ona właśnie z mężem poszła do niego. Mów.

IV.

To, co miałem opowiedzieć, nie wiele wymagało czasu.

— Przed czterema laty, będąc tranzlokowany z oddalonych prowincji naszego państwa w te strony, chciałem podczas mojéj długiéj, prawie dwiesto milowéj, podróży, odwiedzić po drodze jednego z dawnych przyjaciół; również jak ja, sędziego kryminalnnego. Będzie to ztąd ze sto pięćdziesiąt mil. Przybywszy do jego mieszkania, powiedziano mi, że jest w sądzie, zajęty badaniem pewnego człowieka. Tym sposobem, spotykając się zaraz na wstępie z mojém rzemiosłem, wszedłem i ja, *medias in res*. Słowami „stary przyjacielu“ przywitaliśmy się, niewymawiając naszych nazwisk. Ta okoliczność przypomniała mi się tutaj odrazu. W izbie posłuchalnéj, oprócz sekretarza, sędziego i człowieka, którego badał, z obcych nie było nikogo więcéj, a gdy po skończoném badaniu tamci wyszli, sędzia rzekł do mnie. (Ludzie jednego fachu, zwykle rozmawiają tylko o swojéj czynności).

— Czy przypatrzyłeś się człowiekowi, którego w téj chwili badałem?

— Tak jest.

— Nie zauważyłeś w nim nic szczególnego?

— Chyba to, że mały, brzydki, włosy ma czarne i najeżone, wargi ściśnięte i twarz pałającą.

— Twarz jego zwyczajnie jest bladą, bardzo bladą.

— Musiał więc być wzruszonym?

— Tak, w skutek badania.

— Czy on sam jest winowajcą?

— Nie, on jest tylko świadkiem, ale takim świadkiem, któren raczéj jako winowajca stać by tu powinien.

— Nie wygląda na człowieka, z wyższego społeczeństwa.

— Jest to dziedzic z okolicy, baron.... baron..

— Tam do djabła! rzekłem do poborcy, tylko co miałem na ustach jego nazwisko, i znowu go straciłem. Od momentu jakem obaczył barona Föhrenbacha, ciągle sobie przypominałem; ale napróżno. Czekaj! zdaje mi się że już mam ale nie...... nie mogę sobie przypomnieć......

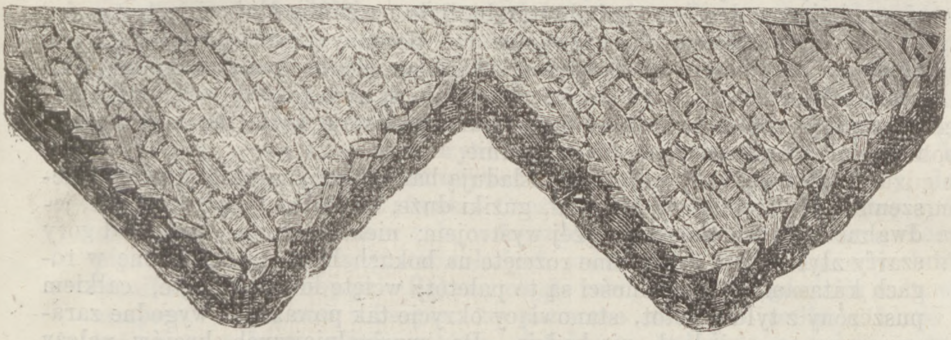
— Może przyjdzie ci na myśl w ciągu opowiadania; mów daléj.

Daléj, opowiadałem słowami mego przyjaciela, sędziego kryminalnego.

— W pewném miasteczku o dwie mile ztąd, był jarmark, słynny na całą okolicę i bardzo uczęszczany. Najbardziéj zjeżdzali się bogaci dziedzice wielkich dóbr i niemniéj bogaci handlarze bydła i rzeźnicy z dalekich stron; wszyscy się między sobą znali z różnych handlowych interesów. Podczas jarmarku, jak zwyczajnie, kończono stare interesa, zawierano nowe zobowiązania; a przytem, pito ogromnie i grano na wielkie summy. Pewien bogaty kupiec trzymał bank i miał już dużą wygranę; a oprócz tego jeszcze pieniądze od rzeźników, z któremi handlując cały rok, zrobił rozrachunek. Mógł mieć przy sobie dwanaście do piętnastu tysięcy talarów, a mieszkając od miasteczka o mil parę, przyjechał na jarmark konno sam jeden. Po skończonéj grze, wieczorem, powracał tak jak przyjechał do domu, z całym swoim zapasem pieniężnym. Do domu jednak nie powrócił. Na drugi dzień, spotkano tylko konia bujającego po łące. Szukano wszędzie kupca i nareszcie znaleziono ciało jego o milę od miasteczka. Został zamordowany, a pieniądze skradzione. Po każdém zabójstwie nasuwa się pierwsze pytanie; a tak zawsze trudne do rozwiązania; „kto jest mordercą?!“ Długi czas nie było żadnych śladów; nareszcie wykryła się zbrodnia przez samozeznanie, jak to bywa najczęściéj.

(*d. c. n.*)

Dodatek do Zeszytu XI Kółka Domowego.



Szlak do kołder.

Podawaliśmy już kilkakrotnie sposób robienia kołder, ściegiem tunetańskim, dziś podajemy szlak zębowy do tychże kołder, któren się robi następującym sposobem: Grubą włóczką lub bawełną, szydełkiem drewnianném zrób łańcuszek o 10 oczkach, zbierz wszystkie na szydełko; spuść wszystkie oczka zwyczajnym sposobem jak w tunetańskim ściegu, zakręcając nitkę na szydełko za każdém oczkiem, z tą tylko różnicą, że potrzebując gubić, pierwsze dwa oczka spuścisz razem; zbierając w następnym rzędzie podniesiesz te dwa oczka razem i tak daléj, aż zostanie ci na szydełku tylko jedno oczko, w którém zrobisz łańcuszek o 9 oczkach zbierzesz i spuścisz gubiąc, aż zrobisz dostatecznie długi szlak. Jeżeli kołdra jest w dwóch kolorach to stosownie do użytych w kołdrze kolorów, jednym zrobisz zęby, a drugim kolorem, zwyczajnym szydełkowym ściegiem obrobisz brzegiem zęby, żeby się sztywnie trzymały i nie zwijały; w końcu szlak przyrobisz do kołdry.

Opis ryciny.

Fig. 1. *Ubiór spacerowy.* Kapelusz biały włosiany, otoczony wieńcem kwiatów. Szlafroczek z lila alpagi bez rękawów, z wystrojem z białéj koronki Cluny. Bluzka biała muślinowa pod spodem.

Fig. 2. *Ubranie po domu.* Czepeczek gipiurowy od którego szarfy przypięte do stanika broszą. Spódnica zielona jedwabna, takaż pelerynka i pasek ozdobny gipiurą białą, na białym muślinowym staniku.

Fig. 3. *Ubranie małéj dziewczynki.* Kapelusik okrągły, z białéj słomki. Sukienka z białéj alpagi, ubrana pąsową wstążką. Szmizetka i druga spódniczka pod spodem białe muślinowe.

O UBIORACH.

Nieustające zimno jest przyczyną, że na ulicy widać jeszcze zimowe paletoty i aksamitne kapelusze, z magazynów wszakże rozeszło się już dosyć letnich ubiorów, które czekają w szafach na pogodę. Słynna niegdyś przejażdżka na Bielany, będąca głównie wystawą strojów kobiecych, jak-

kolwiek coraz mniéj liczyła zwolenników, nigdy jednak nie została tyle zaniedbaną jak w tym roku, oba bowiem dnie zielonych Świątek były tak zimne i niepogodne, że chybaby trzeba było na hańbę Majowi jechać w futrach. Są wszakże osoby używające już wiosennych paletotów, ale te naśladując paryżanki, kładą pod spód różne ciepłe kaftany i spódniczki, które zabezpieczają je od zimna. Znajdujemy nawet, że to jest bardzo dobry sposób ubierania się na ulicę; figura pozostaje kształtna i nie opakowana, a zdrowie zabezpieczone zupełnie.

Lekkie paletoty wełniane naśladują bardzo krój męzkiéj odzieży; kieszenie mają z wielkiemi klapami, guziki duże, są zwykle z tyłu rozcięte, jedwabne zaś różnią się najwięcéj wystrojem; niektóre mają wiszące od góry szarfy z tyłu i z przodu, inne rozcięte na bokach bywają zakończone w rogach kutasami. W ogólności są to paletoty wcięte lub pół wcięte, całkiem puszczony z tyłu paletot, stanowiący okrycie tak poważne i wygodne zarazem, zarzucony jednak nie będzie. Do oryginalniejszych krojów należy mantylka krzyżowana na przodzie, któréj formę wyciętą z papieru prześlemy przy następującym poszycie naszym czytelniczkom. Mantylkę tę można będzie zrobić strojniejszą gdy się użyje pięknéj materji i koronki, ale da się też przerobić z jakiéj zbyt wąskiéj sukni na domowe użycie. Pragniemy wskazywać takie środki oszczędności prenumeratorkom naszym, przy coraz rosnącéj drożyznie towarów, z przyczyny znacznego obniżenia kursu naszych pieniędzy; suknie fularowe, których cenę podawałyśmy przed rokiem w naszém piśmie na 23 ruble, dzisiaj 30 i 36 rubli kosztują. Wszystkie inne materjaly w takim postępują stosunku, my bowiem począwszy od wstążeczki, tiuliku, słomki, wszystko z zagranicy ciągniemy. Włosy nawet, bez których kupna żadna już prawie nie obchodzi się kobieta, sprowadzane są z Niemiec, jak gdyby zarówno na naszych nie rosły głowach. Mimo bowiem że wieśniaczki u nas mają zwyczaj obcinać włosy idąc za mąż, nie dbają jednak o utrzymanie ich porządne, żeby były w handlu przydatne.

Kapelusze okrągłe zawsze noszone w Warszawie. Mamy tu fasony francuzkie i niemieckie pasterek *à la Watteau*, a trudno nie oddać francuzkim pierwszeństwa, co do malowniczego wdzięku jaki całej głowie nadają. Są trójgraniaste z wywiniętém w górę rondem, są z okrągłą główką a rondem wąskiém. Prześliczne kapelusiki chusteczkowe wyrabiają z białéj krepy lub tiulu jedwabnego. Dwie sute bufy okalające czoło zakończają się z tyłu, spadającą na boki wielką kokardą z czarnéj koronkowéj barbki; do twarzy daje się riusza biała z czarnym, przepięta z boku pstrym bukiecikiem; takiż bukiecik z przeciwnego boku ukrywa się w przejrzystych bufach rondka, a stosowne wstążki spinają pod brodą tę miniaturę kapelusza. Wiele z nich robią z rondem nachylającém się w ząb na czoło według znanego stroju głowy Marji Stuart. Są też i cięższe kapelusze słomkowe równie wgięte. Sprowadzono liczne słomkowe z przejrzystemi główkami, które się wypełniają jedwabną materją. Niektóre kapelusze ze słomy lub włosia nie mają główki wcale, tylko się im dodaje marszczona jedwabna, przepięta paskiem słomkowym lub innym. Oprócz fasonu *Pamela*, ściętego okrągło, tak że uszy pozostają odkryte, Paryż przysyła nam drugi zwany *Lamballe*, będący tylko płaskiém kółkiem słomianém, uwieńczoném kwiatami, które się przytrzymuje na wierzchu głowy wstążkami lub barbkami z koronki zawiązanemi pod brodą; kształt to jednak zbyt oryginalny, aby był powszechnie przyjęty.

Suknie ścinane od góry, tak zwane Gabrjelle, których krój zastosować się daje tylko do materji cięższych, ustępują chwilowo miejsca fałdowanym, zakończonym w pasie szarfą, taki kształt bowiem najbardziéj lekkim wy-

robom przystoi. Suknie w szerokie pasy nie garnirują się wcale, zdobi je tylko u samego dołu gruby sznur spleciony, z kolorów w sukni się znajdujących. Suknie gładkie wełniane zdobią na staniku i rękawach pliskami z jedwabnéj materji; ładnie i poważnie wygląda naszycie poprzeczne z pasmanterji, wąskie u góry spódnicy, a u dołu się rozszerzające w kształcie fartuszka. Staniczki białe z wszywkami idącemi od góry niedochodzącemi zaś do pasa, tworząc sobą rysunek zęba bardzo elegancko wyglądają, gdy wszywki te z obu stron są obszyte wąską, czarną koronką. Staniczki z kolorowych kaszmirów również używane i wtedy na odmiennéj spódnicy, dają się plisy tegoż koloru co stanik. Często też pas szeroki aksamitny, podnoszący się na piersiach w ząb, w kształcie gorsecika, swą czarną barwą pięknie rysuje smukłą postać młodych osób, dla których takie jaskrawe staniki najstosowniejsze. Rękawy ciągle robią obcisłe, u góry i u dołu wystrojone. Piszą nam z Paryża, że tameczne elegantki próbują kłaść na tańcujące zabawy suknie węższe, dotykające zaledwie posadzki z tyłu, z przodu zaś dające widzieć całą nogę. Nowość to jednak bardzo jeszcze zuchwała.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Sos rzeżuchowy.

Wziąść 4 żółtek gotowanych na twardo, pół suchéj tartéj bułki, oliwy łyżkę, garść rzeżuchy drobno siekanéj, trochę soli i cukru, utrzeć to wszystko razem i rozprowadzić octem, sos taki można podać do sztuki mięsa białéj, oraz wszelkich mięs na zimno.

Jajecznica z Serdelami.

Opłókawszy serdele i obrawszy z ości, posiekaj je drobniuchno z kawałkiem masła. Rozpuść znowu trochę masła w rądlu, włóż do niego posiekane serdele i wbij tyle jaj ile ci się podoba. Mięszaj potem często tę jajecznicę aby się nie przypaliła lub bardzo nie zgęsła; a wyłożywszy ją na półmisek, obłóż brzegi grzankami bułki w śmietanie rozmoczonéj i przysmażonéj w maśle.

Jajecznica ze szparagami, pieczarkami, smardzami lub truflami.

Potrawa ta, tak się zupełnie sporządza jak poprzedzająca; zamiast serdeli można do niéj użyć pieczarek, smardzy, szparagów i t. d. Jeżeli trufli do potrawy téj użyjesz, tedy je wprzódy ze skórki obrać potrzeba i utrzeć na tarce. Szparagi zaś i smardze wpierw ugotować, pieczarki tylko się w maśle duszą.

Obwarzaneczki parzone.

Tyle wody co masła klarowanego, to jest po filiżance, mąki dwie filiżanek, trzeba wprzód masło z wodą zagotować i potem odmierzoną mąkę wsypać, ale nie zdejmując z ognia; póty mieszać aż będzie od rądla odstawać, zdjąwszy z ognia w parę minut jajka wbijać całkowite i dobrze za każdem mieszać; póty tak robić aż ciasto odstawać będzie od rądla,

cukru wsypać w proporcję, i znów wymieszać, robić obarzaneczki dość cienkie; jeśli kto chce, można je robiąc tarzać w migdałach z cukrem zmieszanych, jajkiem posmarować i w piec wolny wsadzić; wyjąwszy z pieca, żeby miały trochę glansu, gdy całkiem wystygną, posmarować białkiem, cukrem posypać i znowu w piec taki jak po chlebie wstawić; niech tylko trochę pobędą żeby się cukier roztopił, bo jak dłużéj to się zbyt przyrumienią.

Serek z mleka słodkiego, zamiast leguminy.

Do kwarty mleka słodkiego trzeba wziąść dwa lub trzy żółtka, rozbić je dobrze z mlekiem i wlawszy do tego łyżkę octu lub wina, na ogniu gotować póki się nie zsiądzie, potem wyjąć na sito żeby serwatka ściekła, wsypać cukru, wymięszać łyżką, ugnieść w jeden kawałek i wynieść na zimno aby wystygło; jak wystygnie wyłożyć na półmisek, pokrajać w plastry i po wierzchu śmietaną kwaśną ubitą z cukrem, i cynamonem polać.

Zrazy kasztelańskie.

Wziąść mięsa cielęcego lub wołowego na zrazy, serdele lub śledzie a szczególniéj mleczko roztarte zmieszać z masłem. Dodać do tego cytryny, cebuli tartéj, wymieszać i taką massą przekładać zrazy; zawijać je i kłaść w rądel masłem wysmarowany, zalać śmietaną kwaśną, przykryć dobrze, na węglach postawić, węglami obłożyć i tak aż do zupełnego wysadzenia smażyć.

Zrazy z cielęciny surowéj.

Kraje się cielęcina na zraziki, zbija się, zbiwszy posypuje się chlebem i pieprzem każdy zrazik i napuszcza cytryną; ułożyć je potem wrądelku, przekładać warstwami masłem, podlać trochę bulionu i wstawić w piec ażeby się dobrze wypiekły.

Konfitura z agrestu zielonego.

Bierze się dwie kwarty zielonego agrestu, drelowanego i zalewa się w kociołku zimną wodą; kiedy woda ma się już zagotowywać zdejmuje się z ognia i przykrywa blachą miedzianą, tak z pięć minut niech postoi żeby agrest zmiękł lepiéj, wybiera się potem durszlakową łyżką na sito. Wziąść półtora funta cukru, nalać trzema kwaterkami wody i zagotować; jeżeli są szumowiny zebrać i postawić na misce żeby ochłodł trochę, lecz zawsze ciepły lać na agrest, przykryć bibułą, niech tak stoi do drugiego dnia, dobrać potem ćwierć funta cukru, sok z agrestu zcedzić i przegotować razem; jak się rozpuści cukier, wlać znów sok na miskę i trochę przestudziwszy wlać na agrest; toż samo powtarzać trzeciego i czwartego dnia, dobierając za każdą razą po ćwierć funta cukru. Dnia piątego wziąść pół funta cukru umoczyć go w wodzie, zlać potem sok z agrestu, zagotować dobrze z tym cukrem żeby trochę zgęstniał, włożyć w końcu agrest i dosmażyć, a gdy ostygnie składać w słoiki.